№ 38.

Warszawa dnia 9/21 Września R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

Zulima (na stronie). Dopięłam celu.

Marja. Bo i jakże mogłaby inną zostać, dobrzy rodzice... ja zaś byłam jéj ochmistrzynią.

Zulima (na str.). Nie wątpię o przymiotach jéj, skoro zdołała cię ścierpieć (wychodzi druga sługa).

Scena 2.

Ciż. — Izabella.

Izabella. Bóg z wami rycerzu.

Zulima. I z wami, o co go proszę. (na str.) Więc to rywalka moja!

Marja. To nasza panna.

Zulima. Zbyteczne zawiadomienie (na str.). Krew moja już mi to powiedziała. (do Izabelli). Wdzięczność za życzliwe przyjęcie doznane w domu waszym, nie dozwoliła mi, porzucić go, bez złożenia podziękowania. Dla tego ośmieliłem się.

Izabella. Gościnność będąca obowiązkiem wszystkich arragończyków, jest nadto ze strony rodziców moich wypełnieniem pewnego ślubu. Więc nie pozostajesz nam nic dłużen.

Zulima (na str.). Śliczna była.

Izabella Mogęż wiedzieć zkąd powracasz?

Marja. Z ziemi świętéj?

Izabella. Z ziemi świętéj?

Zulima. Tak. Dawno już temu jak opuściłem Hiszpanią (na stronie). Jakież wzruszenie w jéj twarzy?

Izabella. Powiedz mi... ażali nie poznałeś tam jakiego rycerza z tych okolic.

Zulima. Z Teruelu? znałem jednego.

Izabella. Czy przypominasz sobie nazwisko jego?

Zulima. Ramiro Montalvan.

Izabella. Montalvan? Rodziny z podobnem nazwiskiem nie ma w Teruelu.

Zulima. Ach! to było imię jego przybrane. Prawdziwego, nie znałem długo — aż nareszcie niedawno... nazwał się potem... don Diego...

Izabella. Marsilia?

Zulima. To jego nazwisko.

Izabella. Nieba! Bóg chyba zesłał cię do Teruelu. Powiedz mi rycerzu — powiedz. Gdzie pozostawiłeś Marsiliego? Jak dawno rozstałeś się z nim? Jakie było wtedy położenie jego? Na Boga! Opowiedz mi!

Zulima. Ach — teraz rozważywszy iż on z tego miasta pochodził... Nie zapytałem... czy jestem w domu jego, czy jesteś siostrą jego.

Izabella. Nie, nie, to nie jego dom. Nie jestem siostrą jego ani krewną, lecz los jego obchodzi mnie wielce!

Zulima. Uważam to. Nikt nademnie niemógłby zwiastować ci lepszéj wieści o nim.

Izabella. Bóg ci je wynagrodzi.

Zulima. Marsilia obciążony bogactwy i zaszczytami nabytemi w Palestynie, wsiadł na okręt płynący do Hiszpanji.

Izabella. Jakto? przybywa tu? Już powraca?

Zulima. Odpłynął — temu jest bardzo dawno.

Izabella. Odpłynął już dawno, powiadasz już dawno? I dla czegoż nie przybył jeszcze do Teruelu?

gdzie się zatrzymał? Nie powiedziałżeś że został bogatym? Zdaje mi się żeś to powiedział.

Zulima. Jeden z przyjaciół jego, umierając w Syrji mianował go swoim spadkobiercą.

Izabella. Ach! powinien był natychmiast wrócić do Hiszpanii.

Zulima. Nie uczynił tego z powodu, że za powrotem dostał się do niewoli w pustyni Walencyjskiéj.

Izabella. Och nieszczęście! został jeńcem!

Zulima. Teraz... wydobył się już z niewoli.

Izabella Przywracasz mi życie. Dokończ.

Zulima. W czasie niewoli jego w Walencji, szlachetność jego i ujmujące obejście zjednały mu łaski małżonki królewskiéj.

Izabella. Co mówisz? Maurytanka pokochała go. Kobieta zamężna! Co za sromota. Lud bez czci i wiary. I ta kobieta była piękna? Powiadają że maurytanki Walencyjskie są cudownie piękne. Lecz on — on jéj nie kochał.

Zulima. Nie — to zaprzysiądz mogę, że nie kochał jéj. Przebywałem czas pewien w Walencji. Powracam ztamtąd właśnie. Wiem o tem że wzgardził, odtrącił miłość Sułtanki.

Izabella. Spodziewałam się tego po jego sercu.

Zulima (na stronie). Zarozumiała. Jak się pyszni!

Izabella. Rycerz chrześcianin miałżeby uledz pokusom nieprzyjaciołki jego Boga. Byłoby to nie do uwierzenia.

Zulima. Zapewne, tembardziéj, gdy Marsilia żył miłością w Teruelu.

Izabella. Wiedziałżebyś?

Zulima. Tak—wiedziałem to od niego. Czy znałaś kochankę jego. Jestże powabna?

Izabella. Nie— rycerzu. Piękność nie zdoła oprzeć się nieszczęściu, a kochanka Marsiliego była bardzo nieszczęśliwa. Dawniéj, najpiękniejsze jéj towarzyszki zazdrościły, niecierpiały jéj; dzisiaj wszystkie kochają ją, litują się.

Zulima. Cierpienia jéj dowodzą, że była godną miłości Marsyliego. Pożądając połączyć się z tą którą ubóstwiał, wystawił się na wściekłość gniewu obrażonéj sułtanki.

Izabella. Co? byłżeby zdolny uledz jéj?

Zulima (na str.) Sama poddaje mi (do Izabelli). Czy sądzisz, że tak jest łatwo oprzeć się wdziękom pięknéj królowéj błagającéj i grożącéj.

Izabella. Zdrajca! podła niewiasta. Nikczemna!

Zulima. Czy uwierzyłabyś, że tylko żądza odzyskania wolności mogła go popchnąć do tego kroku? Nie było środka innego. Miałem ówczas właśnie wyjechać z Walencji. Rodak twój miał mi towarzyszyć; ale przeznaczenie jego inny wzięło obrót. Sam tylko pierścień jego przybył tu ze mną.

Izabella. Pierścień. Gdyby to był... lecz daléj...

Zulima. Daléj — król odkrył zdradę swéj małżonki.

Izabella. Nieba!

Zulima. Wedle przepisu praw tamtejszych skazano ich oboje na śmierć.

Izabella. Na śmierć! Wielki Boże!

Marja. Też to są wieści dobre które przynosisz.

Zulima. Chciałem powiedzieć, wieści pewne, niewątpliwe (do Izabelli). Zresztą co do ciebie, nie mogą one mieć wiele interesu. Nie jesteś krewną Marsyliego, ani oblubienicą jego. Kochanka jego, jak powiedziałaś nie jest piękną, a ty jesteś jak najpowabniejsza. Cóż może cię obchodzić to, co położyło kres cierpieniom jego?

Izabella. Święty Boże. (omdlewa).

Marja. (utrzymując ją.) Pani! pani (do Zulimy.) Co uczyniłeś? Otalio! Zimeno! (służące wchodzą) wody, wody, ratujcie! Jezus, pomóżcie!

Zulima. (na str.) Chrześcianka umie kochać, ja umiem więcéj — umiem mścić się.

Marja. Izabello! (do sług). Podaj tu — zwilż twarz jéj — natrzyj skronie. (do Zul.) Nie mógłżeś poznać z kim rozmawiasz?

Zulima. Nędzna! a ty wiesz do kogo mówisz?

Marja. Nie przychodzi do siebie!

Scena 3.

Ciż Margarita.

Margarita. Cóż to? co się stało? Córko moja!

Marja. Ten rycerz — wstąpił w progi nasze w złowrogiéj godzinie.

Zulima. Prawda, Przypatrz się skutkom nierozwagi mojéj. Oznajmiłem córce pani, nie wiedząc kto ona jest, o śmierci Don Diego Marsylii?

Margarita. Marsylii?

Zulima. Teraz dopiero ujrzawszy ją omdlewającą poznaję, że to jéj saméj doręczyć miałem pierścień powierzony mi w Walencji przez Marsyliego. (Izabella czyni poruszenia, Margarita bieży do niéj unikając Zulimy). Niechaj tu zostanie. (Kładzie pierścień na stole). Wybaczcie mi, że tak nieszczęśliwie wypełniłem poselstwo moje... Bóg z wami! (wychodzi).

Marja. Tysiąc szatanów z tobą.

Scena 4.

Margarita —Izabella.—Marja.

Margarita. Izabello! Izabello moja!

Izabella. Matko — czy jest tu matka moja?

Margarita. Jestem droga Izabello — nabierz sił

Izabella. Matko! on umarł — umarł.

Margarita. Córko nieszczęśliwa!..

Izabella. Umarł — bo zdradził mnie. Przeniewierca!

Margarita. Uspokój się na łonie mem. Niech przynajmniéj łzy moje pomięszam z twojemi.

Izabella. Umarł — wszystko skończone! Zagasła nadzieja, nie mam już żyć dla kogo. Musiało stać się tak. Jakto! rzucając się w objęcia żony królewskiéj, nie pomniał że wyzywał gniew niebios; tych niebios, które już ówczas srożyły się przeciwko nam, kiedyśmy byli niewinni! Biedny!..

Marja (do Margarity). Miłośnicą była żona króla Walencji.

Margarita. Niebo podając ci ten kielich goryczy udzieli ci także sił, do spełnienia go. Staraj się uspokoić.

Izabella. Uspokoić? Kochaj przez lat dwadzieścia, kochaj przez całe życie, żyj samą nadzieją dostąpienia miłości prawéj, utrać za jednym ciosem,

wszystkie złudzenia życia i duszy, poznaj, że ubóstwiałaś zdrajcę — przeniewiercę i potem uspokój się, bądź dobréj myśli. Powiedz morzu, aby rozfałdowało się w zwierciadło, podczas gdy dmie wicher najwścieklejszy. Umarł z miłostek z niewierną!. Posłaniec złowrogi oddalił się z tych miejsc, nie czekając wyjaśnień. Chciałabym tysiące jeszcze zadać mu pytań, niech mi natychmiast rozświeci wątpliwości. Przywołaj go—przywołaj— Marjo!

MARGARITA. O! i ja pragnę go wybadać. Idź — poszukaj go.

MARJA. Nie rozpaczaj Izabellito. Kto to wie? Wiek tego młodzieńca, ton lekkiego szyderstwa— pewne pomięszanie, które zdawało mi się dostrzedz w jego postaci. Wszystko nasuwa mi podejrzenie, że on oszukał nas. (odchodzi)

IZABELLA. Nie, nigdy złe wieści nie bywają fałszywemi. On nadto mówił coś o pierścieniu.

MARGARITA. Złożył go tutaj (daje jéj)

IZABELLA. Widzisz kochana matko. To był mój pierścień. Pamiętam, dałam go jemu w przeddzień odjazdu. On przyobiecał mi, nie rozłączać się z nim nigdy. Jeżeli w pośród bojów, na które pośpieszam (rzekł naówczas) poniosę śmierć, wtedy zwrócony ci zostanie ten znak zbroczony krwią moją. Przyjaciel czy wróg, nie braknie takiego, podejmie się doręczyć go tobie. I otóż złożył go w ręce moje — a teraz mogęż powątpiewać o jego śmierci?

MARJA (wchodząc). Wsiadł na koń i wyjechał ztąd — będzie już poza miastem.

MARGARITA (na stronie). Nie wiem co wnioskować z tego. Wyjdź Marjo Gomez.

MARJA. Powtarzam że młokos ten wyglądał na oszusta i człowieka złych zamiarów. Święte są słowa ojca wikarego: Meliora sunt ubera tua vino. Czort bierz tego kto wina nie pije. (wychodzi).

Scena 5.

Izabella. — Margarita.

IZABELLA. Skoro don Diego niewierny więc już nie ma wiary na ziemi. Czyż uwierzyłaś temu... matko? Ja.. ja nie wierzę... nie uwierzyłabym oczom moim chociażby patrzyły. Tak — to niepodobieństwo, gdyby mnie był zdradził, przeczułaby to pierś moja. Nigdy — ani chwilki, nie podejrzywałam stałości jego. W tem maskuje się niewątpliwie jakaś tajemnica. On kochał mnie, cóż to pomoże? on umarł?

MARGARITA. Droga Izabello!

IZABELLA. Niech przyjdzie —niech przyjdzie don Rodryg. Niechaj żąda ręki méj. Oczekuję go niecierpliwie. Tak jest — ażeby umrzeć! to mi już wystarczy.

MARGARITA. Lecz rozsądek.

IZABELLA. Z jakąż pychą ujmie Azagra za moją dłoń. Już jesteś moją! zawoła — daremny był opór twój, daremna wzgarda; miłość twoja musiała ukorzyć się przed gwiazdą moją. Pogardziłaś mną, znienawidziłaś, a dziś ulegasz téj saméj władzy, którą wzgardzałaś. A jeśli łzy trysną na lica moje, rzeknie on: Wstrzymaj te łzy, bo one obrażają mój honor— i będę musiała powstrzymać je. A kiedy będę pragnęła westchnąć rozkaże stłumić westchnienie i wyglądać będę jakby napiętnowana namiętnością zbrodniczą. I stanie się to. Nie! Odwaga! Jednem słówkiem uniknę tego — iżby mnie nie mógł nigdy oskarżać.

MARGARITA Jakto? Widzisz, że teraz żadna nie zasłoni cię wymówka.

IZABELLA. Przemówię do don Rodriga. Powiem mu stanowczo. Jeżeli sądzisz, iż znajdziesz szczęście, gdy zmusisz mnie zostać twą małżonką, wiedz, że w piersi méj zamieszkują gorycz i żałoba. Czytaj z téj twarzy powiędłéj, i zżółkłéj, z tych oczu zakrytych ciemnym obłokiem boleści, z tych ust na których ciągle spoczywa żałość, i z téj postaci przygnębionéj cierpieniem, poznaj, czy to jest taż sama piękność, którą dawnemi czasy w tysiącu pochlebniczych wierszy ogłaszałeś za perłę Gwadalkwiwieru, za gwiazdę błyszczącą w Teruelu? Krew moja już się zepsuła, krąży piołun w mych żyłach. Pójdź, niechaj dłoń moja udzieli ci zarazę — pozyskaj w związku tak niedobranym, zamiast szczęścia, jedynie wstyd, wstręt, zgryzotę rozpacz gwałtowną, a z moim zgonem przedwczesnym, twoje wieczne nieszczęście.

MARGARITA. Czy śmiałażebyś?

IZABELLA. Śmiałażebym? Powiedz mi, mogęż lękać się czego. Powiedz czy wątpisz aby zrozpaczony miał odwagę.

MARGARITA. Jeżeli ojciec rozkaże.

IZABELLA. Powiem — „nie“.

MARGARITA. Gdyby matka błagała.

IZABELLA. Nie!

MARGARITA. Na kolanach!

IZABELLA. Tysiąckrotnie — nie! Mogą, Bóg to wie, pochwycić mnie za włosy i powlec do kościoła, mogą katować ciało moje, mogą skrępować je włosiennicą i wtrącić mnie do klasztoru abym tam zwolna dogorywała. Wszystko to może mój ojciec, ale przygwałcić usta moje do krzywoprzysięstwa. Nigdy!

MARGARITA. Temi słowy wydałaś wyrok na mnie obwieszczasz mi los mój. To nie ty ujrzysz się pogrzebioną z hańbą w celi klasztornéj — to ja, ja tonąc we łzach, żebrać będę u ojca twego za łaskę największą aby przeszył serce moje — ale wiem iż odmówi mi téj łaski, bo słusznie abym cierpiała męczarnie powolniejsze i okrutniejsze.

IZABELLA. Ty? którą ojciec ubóstwia?

MARGARITA. Znienawidzi mnie, skoro Azagra okaże mu dowody niewątpliwe, że żona jego niewierna, odpłaciła mu miłość jego, oszukaniem.

IZABELLA. Wielki Boże!.

(d. c. n.)

Z „ŁEZ“ (*).

FRANCISZKA BOLEMIRA KWIETA

PRZEKŁAD

Adama Maszewskiego.

Aimer, prier, chanter — voilà toute ma vie!
Alph. de Lamartine.

I.

Och, raz pierwszy gdy ciebie
Moje oczy ujrzały,
Święta chwilo! jam płonął
I rozkoszą drżał cały!

Świat przedemną mgła skryła
Tyś jaśniała mi w mroku,
Błękit nieba aż ściemniał
Przy błękitnem twem oku.

Tyś mi gwiazdą błyszczącą,
Tyś mi perłą, ma droga,
Mą tęschnotą, nadzieją,
Żywą myślą u Boga...

II.

Gdy cię tulę, och nie patrz
Oczętami łzawemi,
Bo ja dziewczę, prócz ciebie
Nic, nic nie mam na ziemi...

Gdy tak patrzysz boleśnie
Łza po licu mi płynie,
Słowo czucia z warg drżących
Gdzieś ulata i ginie....

Duch po grobach się tuła
Po ubiegłych lat fali—
O jak rzadko w téj puszczy
Kwiecie łzą się kryształi!

III.

Gdy ci w duszy wspomnienie
Jako gwiazdka zaświeci,
Gdy jak kwiatki młodości
Twe się serce rozkwieci—

Wtedy dziewczę, z twych piersi
Niech pieśń żalu wypłynie,
Póki serce nie ścichnie
A ból duszy nie zginie—

Bo akordy, tchnieniami
Łzami — tony muzyki,
A myśl pieśni — to burza
Wrzących uczuć szał dziki!

IV.

Czemuż dziewczę ukrywasz
Bóle serca tak stale?
Czemuż duszę stęschnioną
Próżne trapią ci żale?

Zbuduj w sercu szlachetnem
Dla swych uczuć świątnicę,
Miłość spali w jéj zniczu
Czarną twoję tęschnicę.

A z popiołów tych feniks
Złotem skrzydłem wypłynie
I szybując w krąg ciebie
Zorzą świat twój obwinie.

V.

Patrz, latorośl tam winna
O wiąz listki oplata,
A nad niemi radośnie
Płochy wietrzyk ulata.

A gdy ona od skwaru
Listki skłania z omdleniem
Wiąz ją tuli do łona
Chłodzi drużkę swym cieniem.

Wejdź, wejdź w bratnie ci serce
Tam się ból twój ukoi,
Tam najwyższe rozkosze
Miłość duszy da twojéj.

VI.

Gdy masz duszę zbolałą
Między leśne spiesz drzewa,
A co serce zawiera
Niech piosenka wyśpiewa.

Siądź pod dębem cienistym
Zroś trawniczek łezkami—
One zaraz wonnemi
Tam rozkwitną kwiatkami.

I pozrywaj to kwiecie
Niech ci w oknie wonieje
Z niem ci w duszy odżyją
Twéj młodości nadzieje.

---

(1) Pod tym tytułem w 1849 r. w Pradze, autor wydał mały zbiorek pierwszych swych poezji. Piosnki te naśladują lekki ton pieśni ludowych czeskich, z któremi w roku zeszłym spotykały się już Czytelniczki Tygodnika. Autor objaśnia wprzedmowie, że uwielbienie dla owéj samodzielnéj, a zarazem niezaprzeczenie pięknéj poezji ludu, pchnęło go na drogę naśladownictwa — a rezultatem tego kierunku są „Łzy“ których lekka forma i nieuczone słowa z tego tylko stanowiska sądzone być mogą.

przyp. tłum.

VII.

Zostań u mnie ma miła
Daj mym ustom rączęta—
Niech w spragnione me serce
Wstąpi dusza twa święta!

O, jam widział w snach moich
Pośród gwiazdek twe oczy,
Twarz w Aniołów spojrzeniu,
Duszę w niebios przezroczy.

I widziałem twe lica
W róży listkach spłonionych,
A usteczka z rubinu
Na jagódkach czerwonych.

VII.

Utonąłem w dumaniu
W swego wnętrza ciemności;
Duch mój tęschnił do ciebie,
Tęschnił do twéj miłości.

Anioł ku mnie przypłynął,
Wietrzyk dmuchnął pieszcząco,
On, sięgnąwszy pod szatę
Dał mi perlę błyszczącą.

Jam ją złożył w swem sercu,
Otuliłem miłością,
Teraz z każdą łzą czystą
Nową świeci jasnością.

IX.

Kiedym duszą utonął
W twym całusie, o miła
Dola moja, twarz smutną
Blaskiem szczęścia skrasiła.

Jam już nie był człowiekiem
W sercu jaśniał świat nowy,
Po nad tłumy'm wzniósł czoło
Jak bohater wiekowy...

W krąg mnie wieczność wełniła
Ciche fale w swem morzu,
A ta ziemia, jak pyłek
W dal płynęła w przestworzu.

X.

Nasza miłość—to dziecię,
Niema żalu do świata,
W wierze, ciszy, pokoju,
Myślą w jutro ulata.

Nasza miłość—to anioł,
Prawdy Boże nam głosi
I na śnieżnych swych skrzydłach
W rajskie światy unosi.

Nasza miłość—bożyszcze
Z wiecznych krain tu spływa,
I w swe błogie dziedziny
Nasze dusze porywa...

O UBIORACH.

Korrespondencja z Boulogne.

Korrespondencją dzisiejszą posyłamy z Boulogne, z miejsca gdzie się zbiera na kąpiele morskie, wytworny świat paryzki. Starożytne miasto portowe Boulogne, zasługuje na obszerniejszy opis, którego dopełnić nie zaniedbamy; dziś powiemy tylko o modach.

Jak na ulicach paryzkich, tak samo i tu widać niektóre dziwaczne kostiumy w jaskrawych i mięszanych kolorach; o tych mówić nie warto, przytoczymy za to skromne i pełne gustu ubrania, które przeważają tu nieskończenie i bawią oko miłą harmonią. Jak zwykle u wód najwięcéj daje się tu widzieć krótkich kostiumów, od ich opisu rozpoczniemy też sprawozdanie, tym bardziéj że kostiumy lubo zostały wymyślone, jako wyłączne ubranie do wód, z powodu dogodności swojéj, upowszechniły się zarówno i na ulicach paryzkich. Dziś suknia długa, powłóczysta, służy jedynie do salonu, na ulicy wcale jej prawie nie widać.

Mimo że upały jeszcze trwają, poranki jednak nad morzem zaczynają być chłodne, widać zatem pojawiające się jesienne kostiumy z różnych tkanin wełnianych, a najwięcéj z Serży (*Serge*). Jest to wyrób dosyć gruby, gładki, w ukośne prążki, trzymający środek pomiędzy lekkiem sukienkiem, a merynosem. Najwięcéj daje się widzieć kostiumów z Serży w kolorach fijołkowym, jasno szafirowym, brunatnym i ciemno szafirowym wpadającym trochę w popielaty. Kostium składa się z podwójnéj spódniczki i krótkiego paletocika, za główną ozdobę służy szeroka pletnia wełniana naszyta gładko lub w rozmaite wzory. Spódniczki obie krają się okrągło w kliny, przód mają zupełnie gładki, z tylu tylko są lekko przymarszczone albo przyfałdowane. Pierwsza spódniczka dosięga prawie ziemi; obie powinny być nieco dłuższe z tyłu niż z przodu. Do kostiumów Serżowych przyjęte powszechnie guziki metalowe naśladu-

jące złoto lub srebro, najczęściéj wypukłe wielkości orzecha. Po tych ogólnych uwagach przystąpiemy do szczegółowego opisu.

Kostium serżowy fijołkowy, składał się z pierwszéj spódniczki naszytéj nad obrębem pletnią białą wełnianą, szeroką blisko na cal. Wierzchnia spódniczka krótsza na ćwierć łokcia, podcięta w ząb po bokach, zakończona była takąż pletnią, która z obu stron dochodziła do pasa. Długie kieszenie po bokach przodu, oznaczone były zarówno pletnią białą. Paletocik krótki dęty spinał się na rząd srebrnych guzików; w koło zdobiła go pletnia, podniesiona po bokach do pachy. Epolety i mankiety u rękawów stosownie były przybrane.

Uważaliśmy podobny kostium jasno szafirowy, naszyty również pletnią białą, przybrany srebrnemi guzikami. Dopełniał ubrania kapelusik biały kastorowy, opasany niebieskim strusim piórem.

Trzeci kostium jasno fijołkowy serżowy objęty był szeroką pletnią wełnianą czarną. Z obu stron pletni naszyta była wązka torsadka srebrna. Pierwsza spódniczka miała jedno naszycie z pletni nad obrębem, druga spódniczka podcięta w ząb po bokach, naszyta była gładko do koła, z obu stron tylko pletnia podniesiona w górę, tworzyła deseń w piramidę. Paletocik krótki dęty spinał się na srebrne guziki, boki plecy i rękawy miały odpowiedni szamerunek z pletni i srebrnéj torsadki. Odznaczał się też śliczny kostium jesienny z brązowego sukienka, jakby posypanego złotym piaskiem. Obie spódniczki obszyte były dwa razy wąziuchną plecionką złotą. Paletocik spinał się na zlote guziki. Kapelusik do tego brązowy kastorowy, przybrany był węzłem aksamitnym tegoż koloru, przepiętym broszą złotą, w kształcie ostu.

Z sukien strojniejszych zwróciła uwagę naszą fijołkowa *poult de soie*. Spódnica powłóczysta z tyłu i po bokach, wycięta była u dołu w głębokie zęby, objęte pliską białą, plisa ta od zębów przechodziła gładko z obu stron aż do stanu. Przód u dołu naszyty był prosto trzema białemi pliskami. Szarfa objęta białą pliską, związana z tyłu na kokardę, dopełniała ubrania. Stanik pod szyję spinał się na perłowe guziki. Kapelusik do tego illuzjowy biały, przybrany marabutami, cały naszyty sieczką, spięty był pod brodą na blondynową barbkę. Rotonda biała kaszmirowa z kapturkiem i angorowemi kwastami służyła za okrycie.

W ogólności szarfy bardzo używane, tak do codziennych jak i do strojnych sukien. Do najmodniejszych należą szerokie szarfy Tunezyjskie w poprzeczne pasy, w żywych kolorach. Szarfa taka bierze się od tyłu, odwraca się na przodzie i przewiązuje znów w tyle poniżéj stanu. Widzieliśmy na sukni perłowéj, podobną szarfę w pasy pąsowe, żółte, zielone i niebieskie. Pod stanik wycięty czworograniasto bez rękawów, szła biała tiulowa szmizetka cała marszczona w odstępach. Rękawy tiulowe składały się także z małych bufek. U szyi i u ręki dana była wązka marszczona walansienka.

Kołnierzyki stojące płócienne, powszechnie przyjęte na rano. *S. z Ż. D.*

Nowości zagraniczne o modach mezkich.

Le Progrès. Jakkolwiek pora obecna najwięcéj zwykle stanowi o modach, nie widać jednakże dotąd nowości zapowiedzianych oddawna. Kilka większych zakładów, przygotowują na nadchodzącą jesień, rozmaite nowe wyroby, które mają przewyższyć w wygodzie i elegancji wszystkie dotąd praktykowane.

Ponieważ żakieta i wierzchni paletot są niezaprzeczenie ubraniem zręcznem, pełnem dobrego gustu, nic więc dziwnego że od dziesięciu lat blisko, używane są co rok jako nowość z małemi tylko odmianami w kroju kołnierza, kieszeni albo też w kolorze kortu.

Pozostaje nam tymczasem przytoczyć mody z miesiąca Września, które nie wyłączając żakiety i paletotu, zalecają się wykwintnym gustem.

Do miasta utrzymuje się ciągle tużurek o dwóch rzędach guzików, kołnierz z tyłu nizki, pięć do sześciu centymetrów szeroki do przodu; stan przechodzi po za biodra jeden lub dwa cent. najwyżéj, jest dość obcisły i lekko oznacza wcięcię; poły płaskie i na dziesięć cent. niedochodzące kolan; przody z wielkiemi wyłogami. Rękawy robią jeszcze ciągle szerokie, jednakże o wiele już zwężono je, szczególniéj od łokcia ku ręce, mankiet oznaczony wyszyciem i otwarty. Zarówno kołnierz, wyłogi, przody aż do dołu i brzeg rękawów koło ręki obejmują cienką plecionką. Kolory zwykle używane na tużurek w tym rodzaju i noszone z upodobaniem w wykwintnych towarzystwach, są: czarny, zielony wpadający w oliwkowy, oraz granatowy i ciemno tabaczkowy.

Używany jest także do miasta surdut tak zwany prosty, to jest o jednym rzędzie guzików, krojem i wykończeniem zupełnie podobny do poprzedniego, z tą tylko odmianą, że więcéj przystaje do figury i ma jeden rząd guzików, robią je zwykle z wielkiemi wyłogami, które czasem pokrywają materją. Rękawy jak u poprzedniego szerokie od góry, a bardzo zwężone od łokcia do ręki. Kolory na ten cel używane są; ciemno-zielony, brunatny i granatowy.

Do ubrania codziennego żakieta zawsze zyskuje sobie upodobanie; przyznać też należy że krój jéj lekki, zgrabny i niewymuszony nadaje jéj najwięcéj cechę ubrania podług fantazji.

Żakieta francuzka, jako nowość tegorocznego lata, pozostała dotąd bez zmiany; stan jéj sięga zaledwie bioder, poły niezbyt są długie zaokrąglone z przodu i oznaczone jednym rzędem guzików, z których pierwszy tylko, to jest najwyższy zapina się, a zacząwszy od tego śpięcia, stan także równie jak poły ścięty jest cokolwiek do tyłu; wyłogi pięć cent. szerokie i zaokrąglone sięgają do drugiego guzika. Rękawy jak u tamtych szerokie od ramienia a wązkie w łokciu, mają u ręki mankiet oznaczony podwójną stebnówką, lub płasko przyszytą plecionką. Powszechnie na żakietę francuzką używają koloru oliwkowego, marron, ciemno granatowego lub ciemno popielatego.

Na mniejsze ubranie służy także marynarka, któréj krój pozostaje zawsze jeden, wyjąwszy pewnéj

małéj odmiany, którą każdy krawiec podług swego upodobania wprowadza. Kołnierz nizki z tyłu, niezbyt także szeroki na przodzie; plecy o trzech szwach prawie przystające do figury, przody zaś dość szerokie na dwa lub jeden rząd guzików spięte. W tym ostatnim razie dają się duże wyłogi, które równie jak końce przodów są zaokrąglone, rękawy szerokie z oznaczonemi mankietami. U marynarki spiętéj na dwa rzędy, poły dają się szerokie i czworograniaste, tenże krój stosuje się i do kołnierza. Niektórzy krawcy robią plecy marynarki w rodzaju surducika *Derby* tylko cokolwiek krótsze, krój taki, można powiedzieć jest zręczny i nadaje temu ubraniu wyraz mniéj negliżowy. Pospolicie na marynarkę używają kolory: ciemno niebieski, szary, brązowy wpadający w żółty, (Bismark) ciemny marron i oliwkowy. W około obejmuje się płasko plecionką lub też przeszywa się stebnówką, w szerokim odstępie od brzegu.

Paletoty jako nadzwyczaj wygodne ubranie utrzymują się w zwykłym swoim kroju, z tą tylko różnicą że go robią cokolwiek krótszy i obciślejszy, jak zeszłéj jesieni. Podajemy krótki opis modnego paletota.

Długość cała nie dochodzi 12 cent. wyżéj kolan; stan o trzech szwach spada prosto bez żadnego wcięcia; kołnierz bardzo niski z tyłu, spadając do przodu rozszerza się do sześciu centy. wyłogi odwrócone aż do dołu zaokrąglone są u góry, równie jak i rogi kołnierza.

U niektórych paletotów wyłogi i kolnierz pokrywają materją w kolorze odpowiednim do całości paletotu, tylko za zwyczaj cokolwiek ciemniejszym. Rękawy szerokie przez całą długość, mają wyszycie w miejsce mankieta. Zazwyczaj na paletoty używają kolory: ciemno popielaty, oliwkowy, orzechowy, cynamowy, oraz kolor musztardy.

Pantalony według ostatniego kroju są pół-obcisłe, spadające zupełnie prosto, nie używają jednak ani lampasów, ani żadnego rodzaju ozdoby po bokach. Kamizelki noszą spięte na guziki pod szyją aż do związania krawata; jednakże u niektórych pierwszych krawców zaczynają je robić cokolwiek więcéj otwarte. Na zakończenie sprawozdania o modach podajemy opis żakiety z Wystawy powszechnéj w Paryżu, oraz tamże znajdującéj się portmonety nowego wynalazku p. Antonio Giglia. Żakieta ta znajdująca się w oddziale włoskim. zrobiona jest z dwojakiego materjału w ten sposób, że za odwróceniem tegoż materjału, zmienia się krój i cała postać żakiety. System ten równie łatwy jak prosty, może być zastosowany z powodzeniem do wszelkich innych ubiorów zapinanych na jeden lub dwa rzędy guzików. Cała żakieta podszyta jest materją urządzoną w ten sposób, że ta zabezpiecza część wewnętrzną od kurzu równie i przepocenia. Aby przekształcić żakietę na inny fason, dość jest odpiąć guzik znajdujący się wewnątrz około wykroju szyi oraz dwa inne umieszczone w rękawach, a rzecz już dokonana. Całość tego ubioru jest tak dokładnie wykonana, że z którejkolwiek strony się ją odwróci, wszystkie części okazują najzupełniéj harmonią dokładną, a pomimo swojéj dwoistości zaleca ją także niczem niezrównana lekkość.

Wynalazcą kroju téj żakiety jest p. Antoni Giglia który nie na tem wyłącznie ograniczył swój pomysł, nie mniéj zasługuje na uwagę obmyślana przez niego *portmoneta bezpieczeństwa*, która jak zapewniają nie może być ani skradziona, ani zgubiona, ani też uledz może zniszczeniu od pożaru. Zrobiona z metalu równie trwałego jak żelazo, pomieścić może wewnątrz sztuki złote, srebrne, bilety bankowe oraz ważniejsze papiery. Zamknięcie zaś jest skryte, wiadome samemu właścicielowi tak, że ktokolwiek inny probując ją otworzyć, mocniéj jeszcze ją zamyka. Przytaczamy sposób, w jaki urządzona jest cała maszynerja: dwa łańcuszki przeprowadzone są pomiędzy wierzchem i podszewką, jeden okrąża w koło ramkę, i dochodzi do kieszonki portmonety, drugi idzie przez środek tejże i również jak pierwszy do kieszonki dochodzi. Na końcu każdego łańcuszka umieszczona jest sprężynka do przyciskania, która przystaje czyli jest przytwierdzona do mocnéj osady umieszczonéj po obu górnych rogach. Drugi długi łańcuszek idący wewnątrz portmonety zachacza się końcowem ogniwem o łańcuszek zewnętrzny. Ten ostatni, jakeśmy powiedzieli, jest długi i rozsuwa się w miarę jak pociągnąć ku sobie portmonetę.

Z nadejściem jesiennéj pory zmuszającéj do myślenia o cieplejszem ubraniu, Magazyn p. Dziechcińskiego przy ulicy Miodowéj N. 486 zaopatrzył się w liczny dobór rozmaitych damskich paletotów, paletocików i kaftaników tak z zagranicy sprowadzonych jak i w miejscu przygotowanych. Po największéj części krój ich jest wolny nie wcinany do figury, przybrane zaś są ogólnie pliskami atłasowemi lub wyszywane jedwabnym sznurkiem okrągłym i perełkami. Cena kaftaników kortowych wynosi od rs 9 paletocików od rs. 14, paletoty zaś i burna z wyborowych materjałów kosztują od rs. 25 do 30.

Znajdują się także paletoty z dwoistemi rękawami z których wierzchnie ścięte kanciasto u dołu, spadają ku dołowi, a z pod nich wychodzą drugie wązkie, dosyć obcisłe i te kładą się na ręce.

Oprócz paletotów czarnych i ciemno brązowych nadających się do każdego koloru sukni, magazyn p. Dziechcińskiego zaopatrzony także został w paletoty z popielatych wyrobów w gładkim i w barankowym gatunku. Posiada także paletoty aksamitne na wacie lub tylko z podszewką jedwabną na rozmaite ceny.

Opis deseni do haftu.

N. 1 i 2. Kołnierzyk i mankiet z cienkiéj weby lub perkalu z haftowanym medaljonem w narożnikach. Haft w medaljonie sznureczkowy, listki robione atłaskiem i stembenkiem. (Desenie w tym rodzaju należą do najmodniejszych.)

N. 3. Narożnik do batystowéj chustki od nosa. Brzeg w około obszywa się koronką.

N. 4. Narożnik do chustki od nosa. Haft atłaskowy.

N. 5. Deseń do wyszycia sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym i perełkami. Szlak ten służyć może do gładkiéj tybetowéj spódniczki pod suknią, do sukiennych serwet i t. d.

N. 6. Deseń dziergany na poszewkę. Litery oznaczone Nr. 7 L S haftują się na środku poszewki.

N. 8 i 9. Kołnierzyk i mankiet haftowany ściegiem przewlekanym.

N. 10. Szlak do wyszycia sutaszem albo ściegiem łańcuszkowym.

N. 11 12 i 13. Szlaczki do bielizny damskiéj. Ząbki dziergane, liście haftowane atłaskiem.

N. 14 15 16 i 17. Litery do znaczenia chustek do nosa.

N. 18. Bluzka muślinowa, przybrana wstawką gipiurową i szczoteczką z kolorowéj wstążki.

N. 19. Bluzka muślinowa ozdobiona patkami muślinowemi. Każda patka objęta jest kolorową materją, powyżéj zaś wszyte są wstawki i koroneczka rozchodząca się na obie strony. Wykrój około szyi garnirowany koronką; dwie patki muślinowe tworzą krawatkę. Rękawy ubrane odpowiednio.

N. 20. Rozeta z materjału wełnianego lub jedwabnego do przybrania sukien. Listek każdy podszywa się muślinem sztywnym, obejmuje skośną listewką i zakończa w środku guzikiem obciągniętym z materjału sukni.

N. 21. Liście również do ozdoby sukien.

Opis formy koszuli mężkiéj, dwóch kołnierzyków, koszuli damskiéj i kaptura watowanego.

N. 1. Połowa przedniéj części koszuli mężkiéj.

N. 2. Połowa tyłu koszuli.

N. 3. Połowa karczka.

N. 4. Połowa paska do wykroju szyi.

N. 5. Rękaw.

N. 6. Mankiet.

N. 7. Całość koszuli mężkiéj. Podług numeru 1 i 2 wykroić przód i tył koszuli każdą sztukę w całości, dodając potrzebną długość; w przedniéj części zrobić rozpór, a następnie zakładki drobne lub szerokie zakłady podług upodobania. Dolną cześć koszuli zmarszczyć, umocować z fałdami i pokryć paskiem przystebnowanym, który zarazem przytwierdza patkę do guzika, taki sam pasek podszywa się także z lewéj strony. Koszulę zeszyć należy z boku od litery K, zostawiając u dołu rozporek na 18 centymetrów długi, późniéj zmarszczyć górny brzeg pleców od litery L do dwukropka, wszyć w dubeltowy karczek, podług liter odpowiednich, aby litera L, kropki i M razem przypadały. Na ramieniu karczek stebnuje się od N do O z przodami, obejmuje paskiem dubeltowo krajanym i zaopatrzonym w dziurki do przypinania kołnierzyka. Każdy rękaw kraje się podług N. 5 w całości, zeszywa od R do S, obrębia mały rozporek z dodaniem małego klinika, marszczy u ręki od środka po obu stronach aż do krzyżyka i wszywa w dubeltowy mankiet oznaczony numerem 6-tym. Gotowy rękaw wszywa się w pachę trafiając literą R do bocznego szwa koszuli, gwiazdką na gwiazdkę karczka, a nakoniec podszywa się z lewéj strony zeszycie rękawa ukośną pliską 1 i pół centymetra szeroką.

N. 8. Połowa kołnierzyka stojącego do koszuli mężkiéj.

N. 9. Połowa paska do kołnierza.

N. 10. Całość kołnierzyka stojącego. Brzeg tego kołnierzyka objęty jest przystebnowaną listewką 1 i pół centymetra szeroką, która najpierw w odstępie 3/4 cent. po lewéj stronie od brzega przyszywa się za igłą, późniéj odwraca na wierzch i dwa razy przystebnowywa jak na wzorze oznaczono, składając w rogach fałdę mocno zgiętą. Tak kołnierzyk jak i pasek krają się w całości i zaopatrują w guziki i dziurki.

N. 11. Połowa kołnierzyka wykładanego.

N. 12. Połowa paska.

N. 13. Całość kołnierzyka wykładanego. Kołnierzyk ten przestebnowany dwa razy, szyje się w podobny sposób jak wyżéj opisany.

N. 14. Połowa przedniéj części koszuli damskiéj.

N. 15. Połowa pleców.

N. 16. Połowa karczka.

N. 17. Połowa rękawa

N. 18. Całość koszuli z haftowanym karczkiem. Przykroiwszy z płótna podług N. 14 przód i podług N. 15 tył koszuli w całości wzdłuż linij środkowéj, dodając potrzebną długość, zeszywa się przód z plecami podług liter jednozgodnych i obrębia cały brzeg dolny na jeden centymetr. Wierzchni brzeg koszuli na przodzie zmarszczyć od krzyżyka do punktu, tylny brzeg od środku na obie strony do gwiazdki, a następnie przystebnować karczek podług liter jednakowych. Jeżeli karczek z pojedynczego zrobiony jest płótna, w takim razie szew pokrywa się z lewéj strony tasiemeczką, trwalsze jednak są karczki z dubeltowego płótna, których lewa strona służy do przyszycia szwu. Rękaw zeszywa się od G do H trafiając literą G do boku koszuli, a literą I do J przy karczku będące. Nad dzierganemi ząbkami koszuli można jeszcze umieścić koroneczkę kluni na 2 centymetry szeroką.

N. 19. Połowa główki kaptura.

N. 20. Połowa kołnierza.

N. 21. Połowa główki kaptura w zmniejszonym formacie z oznaczonemi linjami do pikowania.

N. 22. Połowa kołnierza w zmniejszonym formacie z takiem samem oznaczeniem.

(Całość kaptura i opis formy zamieszczony był w przeszłym dodatku N. 37 Tygodnika Mód).

P. Czartowski o którego fabryce rękawiczek pisaliśmy w N. 21 Tygodnika naszego, przeniósł swoje fabrykę z Ulicy Mostowéj na Krakowskie Przedmieście do domu pod N. 105 (dawny 31) na pierwsze piętro od frontu, gdzie sprzedaje po najprzystępniejszych cenach wszelkiego gatunku rękawiczki.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oznaczony Nr. 199 oraz formy: koszuli mężkiéj, dwóch kołnierzyków, koszuli damskiéj i kaptura watowanego.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Znała więc dobrze całą ich wartośći nie miała w nich najmniejszego upodabania. Od wczoraj wieczór nie mało nałamała sobie głowy, co p. de Camors może mieć jéj do powiedzenia, i w jakim celu żądał owéj tajemniczéj rozmowy? Nic jednak wymyśleć dotąd nie mogła. Z jednéj strony zdawało się najzupełniéj niepodobnem, aby poznawszy ją zaledwie, p. de Camors chciał zrobić jakieś miłosne oświadczenia; z drugiéj znowu wspomniawszy na głośną sławę młodego hrabiego, przychodziło jéj na myśl, że podobny człowiek mógł mieć odrębny, właściwy sobie sposób postępowania. Te i tym podobne uwagi i rozmyślania były powodem, że postanowiła przyjąć p. de Camors w ogrodzie, bo salon wyłącznie dla więcéj zażyłych był przeznaczony.

P. de Camors pozdrowił panią de Tècle, kłaniając się jakby najpoważniejszy Anglik przed swoją monarchinią, następnie usiadł, i pochylając się ku niéj, rzekł stłumionym głosem: Czy pozwolisz mi pani abym powierzył ci moją tajemnicę i błagał o radę?

Pani de Tècle podniosła śliczną główkę, wlepiła w hrabiego pogodne, promieniejące oczy, uśmiechnęła się i zakończyła to nieme pytanie lekkim ruchem ręki, zdającym się mówić: Dziwi mnie to niewymownie, ale słucham pana.

— Najpierw tedy objawiam pani moją tajemnicę, chciałbym zostać deputowanym tego okręgu.

Usłyszawszy tak niespodziewane oświadczenie, pani de Tècle znowu spojrzała na p. de Camors, odetchnęła swobodniéj i poważnie skłoniła głowę.

— Jenerał de Campralion, mówił daléj młody hrabia, daje mi nieustanne dowody ojcowskiéj przychylności i opieki; chcąc mi dopomódz składa swój mandat, uprzedził mnie jednak, że tylko poparcie wuja pani, może zapewnić głosy wyborców. Posłuszny radom jenerała, przybyłem w te strony starać się pozyskać względy i uznanie p. Des Rameures, ale zdania i przekonania jakie wczoraj objawił tak są przeciwne moim nadziejom, że doprawdy nie mam odwagi trwać w moich postanowieniach. Zniechęcony, smutny, poważam się prosić pani abyś raczyła poradzić co mam robić, a cokolwiek mi wskażesz, będę ślepo posłuszny.

— Ależ panie.... odrzekła pani de Tècle, doprawdy ciężki klin zabijasz mi w głowę — i poważna jéj twarzyczka rozjaśniała uśmiechem.

— Wiem dobrze że nie mogłem niczem zasłużyć na względy pani... żem nie wart jéj poparcia.... ale zawsze jestem stworzeniem Bożem.... a pani tak dobra i litościwa. Wyznaję szczerze, że chodzi tu o majątek, przyszłość, o los całego życia mego. Byłbym niepocieszony, gdyby mi przyszło postradać tę jedyną może sposobność, wejścia w tak młodym wieku, na roztwierającą się przedemną drogę życia publicznego. Czy więc raczysz mi pani dopomódz?

— Ale jakimże sposobem? zapytała p. de Tècle.. nie mięszam się zupełnie w politykę. Zresztą niechże się dowiem czego pan rzeczywiście żądasz odemnie?

— Najpierw proszę i błagam panią, abyś mi nie była przeciwną.

— Jakiż mogłabym mieć do tego powód?

— Oto najłatwiéj. Nikt słuszniéj jak pani nie ma prawa być surową dla innych.... a młodość moja nie była wolną od nagany. Wiem że nie koniecznie dobrze mówią o mnie.... pod pewnym względem możem i zasłużył na to.... słusznie więc lękać się mogę czy nie doszły pani wiadomości, które mogłyby ją jak najniekorzystniéj względem mnie uprzedzić.

— W cichym zakątku naszym, odrzekła, nie odbija się echo głosów Paryża.... nie wiemy co się tam dzieje.... i gdybym tylko miała środki po temu, chętnie dopomogłabym panu w jego zamiarach, bo jestem przekonana, że poważne i wzniosłe prace deputowanego, wpłynęłyby szczęśliwie na zmianę dotychczasowego sposobu jego życia.

(Ach! cóż to za rozkosz, pomyślał sobie w duchu p. de Camors, potrafić podejść tak rozumną i dowcipną osobę.) Bądź pani przekonaną, rzekł głośno, że całkiem oddałbym się moim obowiązkom.... ale skoro raczysz zachęcać moje nadzieje, powiedz pani czy mogę się spodziewać, że zdołam kiedyś zmienić usposobienie i uprzedzenia p. Des Rameures? Pani znasz go tak dobrze.... powiedz co mam czynić aby pozyskać jego względy?... jak postępować aby zapewnić sobie poparcie, które jedynie zdolne jest urzeczywistnić moje nadzieje?...

Pani de Tècle zamyśliła się głęboko, i rzekła po chwili: doprawdy trudna to sprawa.

— Więc trzeba się wyrzec wszystkiego!...

P. de Camors wyrzekł te słowa z taką prostotą i poddaniem, że p. de Tècle uczuła się żywo wzruszoną.

— Pozwól mi pan namyśleć się nad tem trochę, rzekła, i wsparłszy głowę na ręku chwilkę siedziała zadumana; p. de Camors spoglądał na nią z skromną i pokorną miną.

— No, zawołała nareszcie wesoło, sądzę że najlepiéj będzie nie zmieniać dotychczasowego trybu postępowania.

— Jakto, pani....

— Nie wspominać nic wujowi o celu przybycia pana.... i czekać spokojnie aż czas, stosunki sąsiedzkie i osobiste przymioty pana, usposobią dostatecznie wuja mego, aby zezwolił iżbyś stawił swoją kandydaturę. Co do mnie, mam proste bardzo zadanie;

obecnie, aby się nie wydać, nie mogę dopomagać panu inaczéj, jak tylko przedstawiając w najlepszem świetle przymioty i zalety jakie powinieneś okazać.

— Jakże mam dziękować pani, zawołał p. de Camors. Znam aż nadto dobrze, iż obierając panią za powiernicę dumnych moich zamiarów, posiedłem za niewłaściwą może radą rozpaczy i zniechęcenia.... słusznie więc karzesz mnie lekkiem szyderstwem. Zawsze jednak jestem pani nieskończenie wdzięczny... wyznaję iż obawiałem się znaleść w niéj nieprzyjazną potęgę.... a znajduję mocarstwo neutralne... prawie sprzymierzone....

— O najzupełniéj sprzymierzone i przyjazne.... tylko że tajemnie, dodała śmiejąc się. Najpierw miło mi jest dopomódz panu, a powtóre, mam wiele przyjaźni dla p. de Camprallon, i szczerze pragnęłabym spełnić jego życzenia..... Chodź droga Marjo!

Ostatnie słowa zwracały się do młodziutkiéj panny Marji, która w téj chwili pojawiła się w rogu tarasu. Przybiegła prędko do matki, trochę niezgrabnie kłaniając się p. de Camors, jak to zazwyczaj robią dorastające panienki.

Pani de Tècle przeprosiła uprzejmie p. de Camors, i zaczęła mówić do córki po angielsku: Zanadto jesteś zgrzana, nie biegaj już, Marjo. Powiedz Rózi żeby mi zaraz wszystko przygotowała do ubrania. Jak pójdę się ubierać, wydasz mi zadaną lekcję katechizmu.

— Dobrze, Mamo.

— Zrobiłaś ćwiczenie?

— Tak mamo.... ale powiedz mi jak powiedzieć po angielsku ładny.... mówiąc o mężczyźnie.

— A to na co?

— Tak stoi w ćwiczeniu.... chcę wiedzieć jakby to napisać piękny, miły, ujmujący?

— *Handsome, nice, charming,* odpowiedziała matka.

— No to, powiem ci mamo, że ten młody *gentleman* nasz sąsiad, jest, bardzo *handsome, nice, and charming.*

— *Mad... foolish creature,* zawołała p. de Tècle, a dziewczynka śmiejąc się prędko pobiegła ku domowi.

P. de Camors słuchał całéj téj rozmowy z najzimniejszą powagą, potem wstał, mówiąc: Raz jeszcze stokrotnie dziękuję i przepraszam panią.... więc pozwalasz mi powierzać ci niekiedy moje kłopoty i nadzieje polityczne?

— Najchętniéj.

Skłonił się z uszanowaniem i odszedł. Przechodząc dziedziniec spotkał się z panną Marją, i kłaniając się najpoważniéj rzekł jéj po angielsku:

Drugą razą, bądź ostrożniejsza panno Marjo: gdyż doskonale rozumiem po angielsku.

Panna Marja stanęła jak wryta, zarumieniła się jak to mówią po same uszy, i rzuciła na p. de Camors, dzikie pół gniewne, pół zawstydzone spojrzenie.

— *You are not satisfied, miss Mary?* zapytał Camors. (Nie jesteś zadowolniona, panno Marjo?)

— *Not al all* (bynajmniéj) odpowiedziała.

P. de Camors roześmiał się, ukłonił i odszedł, zostawiając na środku podwórza, rozgniewaną i zawstydzoną pannę Marję.

W kilka chwil późniéj biedna dziewczyna rzuciła się w objęcia matki, i opowiedziała z płaczem swoją smutną przygodę. Pani de Tècle skorzystała ze sposobności, aby dać córce nauczkę jak powinna być uważną i ostrożną, lecz niechcąc zasmucać dziewczęcia w żart obróciła całe zdarzenie.

P. de Camors wracał do domu bardzo zadowolniony z swéj wyprawy, winszując sobie szczerze planu, który słusznie mógł uchodzić za arcydzieło strategji. Przez umiejętne połączenie szczerości i chytrości, potrafił zręcznie przeciągnąć panią de Tècle na swoją stronę; od téj chwili wierzył w urzeczywistnienie dumnych swoich widoków, bo umiał doskonale ocenić niezrównaną wartość współudziału kobiety, i znał całą potęgę téj powolnéj i niezmordowanéj pracy, tych nagromadzonych usiłowań, téj nieustannéj drobiazgowéj wytrwałości, tych jakby podziemnych ciśnień które równają siły kobiece z nieprzepartemi i niezwyciężonemi siłami przyrody. Nie dość na tem, między nim a tą śliczną kobietą zachodziła teraz jakaś tajemnica, dopuszczająca pewnéj poufałości; mógł teraz zamieniać z nią ukradkowe spojrzenia, tajemnicze pół słówka, urywkowe rozmowy, a wszystko to umiejętnie pokierowane, mogło bardzo przyczynić się do uprzyjemnienia mu przymusowego nowicjatu.

Wróciwszy do domu, napisał do jenerała aby mu zdać sprawę ze wszystkiego i prosić jeszcze o trochę cierpliwości, bo od téj chwili wszelkich dokładał starań, aby przeprowadzić szczęśliwie obie swoje kandydatury, które mu teraz zarówno leżały na sercu. Postępowanie jego z p. Des Rameures odznaczało się zarówno prostotą i zręcznością. Umiał korzystać ze stosunków sąsiedzkich bez przesady i narzucania się; uczył się niby gospodarstwa w wzorowéj szkole starego szlachcica, pasterza, i oddał mu zupełnie teoretyczny kierunek swojéj majętności, co wszystko zjednało mu względy zacnego starca. Jednak im więcéj poznawał niezłomny hart charakteru p. Des Rameures, tém więcéj lękał się że w niektórych głównych punktach zawsze pozostanie niezachwianym. Po kilku tygodniach codziennych niemal stosunków, starzec wychwalał go chętnie jako miłego chłopca doskonałego muzyka i pożądanego towarzysza, ale jakże to daleko było od tych pochwał do powzięcia myśli zrobienia go deputowanym! Nawet pani de Tècle nie ukrywała p. de Camors jak wielkie ma do zwalczenia zawady.

Jednak młody hrabia nie tak jakby spodziewać się należało, ubolewał nad zawodem jaki zdawał się zagrażać jego dążeniom. Wśród tych bowiem wszystkich zabiegów i starań, zwolna druga, podrzędniejsza myśl zapanowała nad pierwszą czyli inaczéj mówiąc, zajęcie się panią de Tècle, przeważyło nad miłością do krzesła deputowanego. Choć z krzywdą naszego bohatera, wyznać jednak musimy, że początkowo pragnąc spodobać się swéj sąsiadce miał jedynie na myśli proste uprzejemnienie długiego pobytu na wsi. Jakkolwiek może dotąd nie spotkał kobiety takiéj jak pani de Tècle, umiał ją jednak właściwie ocenić. Pojmował najzupełniéj że nie była to kobieta zacna i pełna rozsądku, przez proste tylko że tak powiem, nawyknienie, ale z gruntu duszy czystą i nieskażoną, nie udaną skromnisią nie fanatyczną bigotką, ale prawdziwie religijną i pobożną.

Widział w niéj umysł prawy i bystry zarazem, uczucia wzniosłe i szlachetne, zasady wyrozumowane i wkorzenione, cnotę bez szorstkości, czystą i piękną jak jasność płomienia. Widział i pojmował to wszystko, a jednak nie tracił nadziei podobania się.

Z taką kobietą mówił sobie zwykłe formułki, nadskakiwania i grzeczności na nic się nie zdadzą, taka chcąc zdobyć jéj serce trzeba otoczyć najgłębszym szacunkiem i czcią godną jéj pięknéj nieskalanéj duszy.

Odpowiednie i jakby nieśmiałe tym myślom zachowywanie się lwa paryzkich salonów, w obecności p. de Tècle, musiało silne na niéj wywrzeć wrażenie. Było to coś jakby hołd zawstydzonego i poczuwającego się do winy ducha ciemności, składany duchowi dobra i światła. Nigdy, czy to w liczniejszem towarzystwie, czy w samotnéj z nią rozmowie, nie wyrzekł ani jednego słówka, nie zrobił ruchu, nie rzucił choćby spojrzenia, któremuby najsurowsza cnota mogła cośkolwiek zarzucić. Nie dość na tem, ten dumny młodzian, zazwyczaj tak szydersko na świat patrzący, mówiąc do niéj był zawsze poważny i jakby pokorny. Kiedy do niéj zwracał mowę, twarz jego, ton głosu, słowa, zmieniły się nagle, przybierając wyraz poważny i pełen poszanowania, jak gdyby wchodził do kościoła. Pełen niewymuszonego dowcipu, używał go w rozmowach prowadzonych w obec pani de Tècle, jak gdyby go tylko miał dla niéj i na jéj rozkazy lecz jeśli ona przemówiła, w téj chwili stawał się poważnym i odpowiadał z największą pokorą i uszanowaniem.

Każda kobieta którą mężczyzna wyróżniający się z tłumu, otacza tak wytworną grzecznością i tak pochlebne składa hołdy, może się w nim nie zakochać ale musi koniecznie uznać go miłym i powabnym. Uspokojona zupełnie całem postępowaniem Camors'a, pani de Tècle znajdowała wiele przyjemności w jego towarzystwie, przyznawała w duszy że jest nieskończenie wyższy pod każdym niemal względem, od wszystkich znanych jéj dotąd, i może lepiéj od innych pojmuje jéj skłonności i upodobania. Nakoniec te zajmujące pogadanki i ciągłe rozmowy z młodzieńcem tak znanym rozgłośnie zbudziły w sercu pani de Tècle uczucie czyli raczéj złudzenie, któremu kobiety z trudnością oprzeć się umieją.

Takie były tajemne myśli i uczucia, których młodziutkie latorośle kiełkowały, wzrastały i rozkwitały powoli, w téj równie tkliwéj jak czystéj duszy.

P. de Camors przewidział po trochu to wszystko; tego jednak nie odgadł że i sam wpadnie w zastawione sidła, i będzie w krótce zupełnie szczerym w téj roli, którą przyjął z rozumu i wyrachowania. Od pierwszego wejrzenia p. de Tècle bardzo mu się podobała; wszystko w niéj oddychało niewysłowionym powabem, sama nawet może nieco zasurowa powaga, łącząc się z wrodzonym jéj wdziękiem tworzyła jakiś rodzaj oryginalnego uroku, drażniące niewypowiedzianie otrętwiałą wyobraźnię młodego hrabiego. Skutkiem tego w usposobieniach i sercu p. de Camors, zaczynało kiełkować szlachetne uczucie. Dzięki zażyłości jakiéj tak sprzyja życie wiejskie, widywał ją codziennie, czytał w jéj życiu jak w otwartéj księdze, dostrzegając ją zawsze jednaką, poważną, spokojną, pogodną jak cnota, mimowiednie zbudował jéj w swem sercu świątynię czci i uwielbienia. Nie była to jednak miłość oparta na głębokim szacunku. Aby szanować trzeba przyznawać zasługę w posiadaniu przymiotów cześć obudzających p. de Camors zaś nie wierzył w nic bynajmniéj. On mniemał po prostu że p. de Tècle urodziła się taką jak była, i uwielbiał ją jak rzadką roślinę, jak coś uroczego, jak doskonały utwór, w którym przyroda umiała połączyć w doskonałym stosunku i harmonji, najpiękniejsze przymioty fizyczne i moralne. Jednem słowem, pokochał ją prawdziwie, i niezadługo owa rola niewolnika w obec swéj królowéj, jaką z początku odgrywał z wyrachowania, przestała być udaniem.

Czytelniczki nasze zauważały zapewnie nie jednokrotnie, ten fakt dziwny i niewytłomaczony dostatecznie, że jeśli wzajemne uczucia dwóch istot śmiertelnych dojdą pewnego stopnia dojrzałości, przypadek nastręcza niemylnie jakąś okoliczność, zdradzającą tajemnicę tych dwóch serc, i piorun uderza nagle z chmur nagromadzonych powoli. Takie bywa przesilenie wszystkich miłości. Dla p. de Camors i p. de Tècle, okoliczność ta przedstawiła się pod postacią wcale nie spodziewaną.

Było to ku końcowi października. Wstawszy od stołu, Camors kazał sobie podać konia i wyjechał przejechać się po okolicy. Noc zapadała zimna i ciemna, jakby namawiając do powrotu, jednak hrabia jechał coraz daléj, bo wiedział że tego wieczora nie zobaczy pani de Tècle, która miała pojechać gdzieś w sąsiedztwo. Czując jak bardzo mu jéj brakuje, szukał sposobu zabicia czasu, spodziewając się nadto że gwałtowny ruch konnéj jazdy uspokoi mu umysł, niezmiernie wzburzony. Młody jeszcze i niezahartowany w fałszywym na świat poglądzie niepokoił się na samą myśl zakłócenia życia, tak pięknéj duszą istoty, jaką była pani de Tècle. Zranić serce takiéj jak ona kobiety, z najszlachetniejszego uczucia zrobić zabawkę, zdeptać je i stratować, jak koń jego depcze bezmyślnie i niemiłosiernie trawę napotykaną na przebywanéj drodze, to cokolwiek za wiele na umiejącego choć cokolwiek oceniać swoją godność człowieka. I przychodziła mu myśl żenienia się z panią de Tècle, jeżeli potrafi uzyskać jéj serce dla siebie, błagania na kolanach o tę rękę, któréj skinienie było prawem dla całego otaczającego ją towarzystwa. Ale w téj saméj chwili odpychał ją, jako słabostkę, zwyczajną w młodzieńcu patrzącemu na świat oczami poezji i nie zużytego zapału, lecz niegodną człowieka znającego ludzi i mającego już zasady na doświadczeniu i rozumie oparte.

Kiedy zatapiał się w tych rozkosznych obrazach, w umyśle jego powstało nagle złowieszcze wspomnienie przeszłości..... i twarz jego martwą powlekła się bladością.

W téj właśnie chwili dojeżdżał do lasu hrabiego de Tècle, którego część została świeżo wykarczowaną. Nie sam tylko przypadek skierował w tę stronę kroki p. de Camors; bywał tu nie raz z panią de Tècle, w towarzystwie jéj teścia i córki i wiedział że było to jéj ulubione miejsce przechadzki.

Na końcu wykarczowanego lasu, stała nędzna buda, którą, korzystając z pozwolenia hrabiego, wysta-

wił sobie biedny jakiś człowieczyna, trudniący się wyrabianiem sandałów. Pani de Tècle opiekowała się tym włóczęgą, może dla tego że równie jak p. de Camors, nie szczególną cieszył się sławą. Zamieszkiwał w swéj budzie z żoną kobietą ładną jeszcze mimo pokrywających ją łachmanów, i dwoma chłopczykami z złotowłosemi główkami. Człowiek ten przybyły gdzieś z daleka był zupełnie obcy w téj okolicy. Zawsze milczący i posępny, miał dość piękne rysy, energiczny i surowy wyraz twarzy, i wielką czarną brodę. Pani de Tècle lubiła patrzeć gdy wyrabiał sandały, bawiła się z ślicznemi, choć czasem trochę usmolonemi dzieciakami, i litowała nad biedną kobietą, krzątającą się ciągle około dzieci i gospodarstwa.

P. de Camors jechał stępo skalistą, ścieżką, wijącą się stromym brzegiem lesistego wybrzeża; była to właśnie chwila w któréj w umyśle jego pojawił się cień pani de Lescande i zdało mu się niemal że słyszy bolesną jéj skargę. W tem nagle złudzenie ustąpiło miejsca dziwnéj rzeczywistości; wyraźnie jakiś głos kobiecy wołał nań tonem rozpaczliwéj boleści: Panie de Camors! Mimowolnie na miejscu powstrzymał konia, i dreszcz zimny przebiegł jego członki; głos znowu się odezwał i znowu go przyzywał. Tą razą poznał głos pani de Tècle. Powiodłszy bystrym wzrokiem wśród otaczających go ciemności, ujrzał małe błyszczące między drzewami światełko w kierunku budki rzemieślnika, i idąc za tym śladem skręcił prędko konia, przegalopował po wykarczowanem polu i stanął przed panią de Tècle.

Stała na progu budki, wydając służącemu pośpieszne jakieś rozkazy; zobaczywszy zbliżającego się pana de Camors wyszła na przeciw niemu. Daruj pan żem cię tu przywołała.. ale tak jestem zmartwiona.

— Ty, pani!..

— Dzieci tych biednych ludzi umierają.... Co tu począć! co tu począć!. Wejdź pan... wejdź proszę!..

Zeskoczył z konia, oddał lejce służącemu i wszedł do chaty za panią Tècle.

Złotowłose dzieciaki leżały obok siebie na nędznym tapczanie, nieruchome, sztywne z otwartemi oczami, rozpalone gorączką, rzucając się niekiedy konwulsyjnie.

Stary doktór Durochèr stał nad niemi pochylony, wpatrując się nieruchomie i w wielkiem zamyśleniu. Obok tapczanu klęczała matka, płacząc i załamując ręce, w nogach posłania stał ojciec z suchem okiem, dzikim wyrazem twarzy; chwilami drżał cały i szeptał głuchym głosem: Oba! oba od razu! i znowu w ponure zapadał milczenie.

Doktór żywo zbliżył się do p. de Camors. Ani wiem co to być może, rzekł z cicha. Można wnosić że to skutki otrucia, ale nie ma znowu żadnego stanowczego symptomatu.... zresztą przecież rodzice musieliby o tem wiedzieć, wypytywałem ich. W innym czasie mogłoby to być skutkiem oddziałania promieni słonecznych, ależ oboje razem, i to jeszcze o téj porze, niepodobna. Ach! panie jakże ciężkiem staje się niekiedy nasze powołanie!...

Camors prędko rozpytał się o wszystko, i dowiedział się że przed godziną biedna matka przybiegła, wzywając pomocy p. Durochèr, który obiadował u hrabiego de Tècle. Pobiegł natychmiast, ale gdy przybył dzieci już zaniemówiły i leżały bezprzytomnie w strasznéj gorączce. Zdaje się że zapadły w stan taki po kilku chwilach niemocy i strasznéj maligny.

Szczęśliwa myśl przyszła Camors'owi. Kazał podać ubranie jakie dzieci w dniu tym miały na sobie; matka przyniosła mu je natychmiast. Przypatrzywszy się bacznie, zwrócił uwagę doktora na czerwone plamki odbijające na biednych łachmanach. P. Durocher ręką uderzył się w czoło, porwał sukienki i kładąc rękę w kieszonki wyjął garść na w pół zgniecionych, do wiśni podobnych owoców.

— Belladona! zawołał. Dziesięć razy myśl ta przychodziła mi do głowy, i zawsze odpychałem ją jako niepodobieństwo. Na dwadzieścia mil w około nie znajdzie śladu téj rośliny.... i trzeba żebym nie wiedział że się znajduje w tym przeklętym lesie!..

— Czy sądzisz pan że zdołasz jeszcze uratować te dzieci? Zdaje mi się że może już będzie za późno.

— I ja się tego boję.... wszystko jednak zależeć będzie od czasu jaki od chwili otrucia upłynął.... od ilości spożytéj trucizny.... i lekarstwo jakie będę mógł dostać.

I starzec zaczął wypytywać się pani de Tècle, ale pokazało się że nie miała w swéj apteczce ani jednego z niezbędnych środków wymaganych przez doktora. Trzeba było na początek poprzestać na mocnym wyskoku z kawy, po którą natychmiast obecny służący udał się do pałacu, a po lekarstwa posłać do miasta należało.

— Boże mój, zawołała z rozpaczą p. de Técle, do miasta przeszło cztery mile noc tak ciemna, posłaniec i za cztery godziny nie wróci.

Pan de Camors usłyszał te słowa: Pisz receptę, doktorze, zawołał, mam u drzwi mego wierzchowca, przyrzekam więc pani wrócić za godzinę.

— O dziękuję, serdecznie panu dziękuję, odpowiedziała.

Pan de Camors wziął receptę, wskoczył na konia i pojechał. Dostawszy się na pobliski gościniec pędził galopem jak upiór w legendzie, co za jednym skokiem przeskakuje całe lasy, wysokie góry i straszne przepaści.

Wyjechał o godzinie dziewiątéj, a w kilka minut po dziesiątéj p. de Técle posłyszała tentent galopującego konia i co prędzéj wybiegła z chaty. W tym krótkim przeciągu czasu, stan zdrowia dzieci znacznie się pogorszył, ale doktór wiele bardzo liczył na silne działanie lekarstw, po które pojechał p. de Camors. Pani de Técle oczekiwała więc jego przypycia z gorączkową niecierpliwością, a ujrzawszy powitała jak się ostatnią wita nadzieję. Scisnęła go za rękę gdy zeskoczył z konia, i przysuwając się do spienionego Trilby, zaczęła głaskać i pieścić szlachetne zwierzę.

(d. c. n.)